

Wreszcie wystartowaliśmy. Dla mnie i dla mojego sąsiada był to pierwszy lot za ocean. Wspieraliśmy się cały czas, że to już niedługo (bagatela 9 godzin lotu plus nadanie bagażu 2 godziny wcześniej). Ale co tam! Nieważne, że fotel mojego sympatycznego rozmówcy nie rozkładał się („Lataj LOT-em”!), a jedzenie raczej zimne i paskudne - zajadaliśmy z apetytem – w końcu To Lot Za Ocean. Któż śmiałyby marudzić. Fotografowaliśmy przez okno naszego statku powietrznego niesamowite postacie i ukształtowania ziemi. Wmawialiśmy sobie, że to co widać w oddali – to na pewno kolonia dzikich ptaków. Lecieliśmy całą noc – a tu w Chicago – ciągle ten sam lipcowy dzień. Niesamowite przeżycie. A jak gorąco, a jak przestrzennie!

Czego jak czego, ale przestrzeni w Ameryce nie brakuje . Może być tłoczno, mroczno, ale zawsze jest perspektywa powietrzna. Prawdopodobnie daje ona złudne poczucie wolności i wolnego wyboru. Przestrzeń ...pokolenia architektów potrafiły wyrzeźbić ją w sposób perfekcyjny. Śródmieście Chicago zapiera dech. Pomiędzy wieżowcami wieje jak na niejednej górskiej przełęczy, z tą różnicą, że idzie się po płaskim terenie. W dodatku każdy wieżowiec, jak górskie wzniesienie- inaczej wygląda oświetlany słońcem letnim, inaczej zimowym, rano, czy pod koniec dnia. Pomiędzy takimi architektonicznymi gigantami wszystko musi być „big”. Duże wystawy, duże płyty chodnikowe, duże parkingi na duże samochody z ogromnymi zbiornikami paliwa. Ten rozmach, ten gest! Ta łatwość inwestowania i zadłużania. Jak się parę lat potem okazało - aż nazbyt wyraźnie, że dziura budżetowa też jest „big”. Coś za coś, jak mówią Indianie.

W Ameryce zaskoczyły i przestraszyły mnie, prawie śmiertelnie, skrzyżowania ze znakami „stop”. Jak to możliwe, Boże Ty mój, żeby jadący większym samochodem, mocniejszym , po prostu- bardziej „wyczesanym”, uznał moje pierwszeństwo przejazdu na stopie. Nigdy! Doświadczona polskimi drogami, gdzie trzeba walczyć o przetrwanie, gdzie niejednokrotnie „nie zauważano” mnie - stałam wpatrzona w tego lub owego, i w żaden sposób nie przyszło mi do głowy, że jak pierwsza przyjechałam, to pierwsza ruszam. Więc stałam...aż wielki i mocniejszy zniknie z pola widzenia. Trochę wody upłynęło, abym nabrałam zaufania .

Zanim zaczęłam pomykać przez skrzyżowania dróg trzeba było kupić samochód. I tu kolejne zaskoczenie. Mimo tłumaczeń- cierpliwych i nieustających mojego małżonka, postanowiłam zabrać „niezbędne” dokumenty (a było to lat temu pięć): wyciągi z konta, zaświadczenie o zarobkach, rozliczenie podatków . Zdziwienie na miejscu było...obustronne, zarówno moje, jak i sprzedawcy. Ale czy ja nie miałam wtedy racji?! Może

nie przeczuwałam kryzysu, ale tak na zdrowy (czy może chory, ale w Polsce „obrobiony”) rozum – gwarancja, albo chociaż cień nadziei, że przyznana mi pożyczkę mam szansę spłacić – musi być. A tu tak na piękne lub mniej piękne oczy. No nic . Trzeba było dokumenty schować, ale jak się okazuje - nie na długo. Dzisiaj wreszcie przechodzi się w Ameryce na zbliżony do polskiego system udzielania pożyczek, gdzie traktuje się każdego starającego się, jak potencjalnie niewypłacalnego. Uff! Znowu swojsko.

Największe oczarowanie i rozczarowanie dotyczy jednak dziedziny architektury. Oczarowały mnie wieżowce i technologia ich budowy, a rozczarował nasz dom. – I coś ty kupił? – pytałam męża z pretensją i bólem w głosie stojąc w postawie zaczepnej. Zobaczyłam, ku zgrozie i zatrwożeniu, że nasz majątek to pozbijana aranżacja patyków, desek, grubych desek i płyt gipsowo- kartonowych. A okazało się to przy niewinnej wymianie wanny. Ciężko było zasnąć wiedząc, że taki, za przeproszeniem, dom mogą wrębać szczury lub myszy. Ba, może nawet wiewiórki, albo szopy. Jak tu żyć? W dodatku to coś, dla nadaniu pozorów domu obłożone cegła – trzeba jeszcze spłacać. Katastrofa. A przecież takie „coś”, takie gorsze niż igło, może się w deszczu rozpuścić albo spalić! I znowu dużo wody upłynęło zanim nabrałam zaufania do konstrukcji domu. Nadal stoi.

Kolejne spostrzeżenie. Bezpieczeństwo mojej dzielnicy. Nigdy, przenigdy nie odważyłbym się na wieczorny spacer bez gazu paraliżującego w pobliżu mojego blokowiska w Polsce . A tutaj proszę, chodzimy z mężem zaczerpnąć świeżego powietrza, pozdrawiamy współspacerowiczów i ich zwierzaki, liczymy beztrudnie przelatujące samoloty i spadające gwiazdy. Czasami zatrzyma się patrol policyjny ze służbowym pozdrowieniem i pytaniem, czy wszystko w porządku. Okazuje się, że w pysk zarobić w mojej dzielnicy jakoś trudno. Oby tak dalej.

Kolejne spostrzeżenie jest odnośnie trawy. Tak, zwykłej trawy. W Polsce - nie deptać, mandaty płacić, pielęgnować, patrzeć. Jakie było moje zdziwienie, kiedy pierwszy raz zobaczyłam tłumy ludzi pokotem leżące na trawie, jedzące na trawie, grillujące na trawie. Trawa jest miękka, czemu się nie położyć i książki nie poczytać? Fascynujące i jakże proste. Trzymam się jednak z dala od traktowania trawy w ten sposób, gdyż przeszkadzają mi zapachy grillowanego mięsiwa, których to nie mogę pogodzić z zapachem świeżości i wody Jeziora. A właśnie – Jezioro. Piękne, zielone, ze śnieżnobiałymi falami, ptactwem, szumem, oszołomieniem. Widok z plaży na Montrose : drapacze chmur -potęga ludzkich zdolności, a u podnóża bezmiar dyszącej wody... W dodatku okolice Jeziora Michigan są ośrodkiem spotkań plażowo - jedzeniowo – kulturalnych. Od wielkiego żarcia, połączonego z wielkim tłumem i setkami kramików, kolejkami i

tysiącami ludzi, którzy wyglądają na ludzi zadowolonych. Trudno spotkać naburmuszoną twarz, wzrok zasepiony, wyraz bólu na twarzy. Być może wskazuje to na mutacje genowe w kierunku nastawienia na pozytywne myślenie. Nasuwa się takie skojarzenie w zestawieniu z większością wizerunków twarzy, które towarzyszyły mi w Polsce. Widniał na nich (i pewnie nadal widnieje), wyraz niezadowolenia, czuć było, że pod czaszką wrze, że bój z myślami , że idee za ideą, że rzeczywistość nie do zniesienia, że nic – tylko się upić. W Chicago nie brakuje ludzi z refleksją, ale myślenie tubylców nie odbija się tak boleśnie i dramatycznie na twarzy i nie towarzyszy temu ustawiczna refleksja, o marności kondycji ludzkiej i jej poczynach. A co najważniejsze – wyniki tej refleksji nie rzutują negatywnie na kontakty międzyludzkie. A to daje łatwość komunikacji i brak jest poczucia, że KAŻDA wymiana myśli musi przypominać walkę bokserską. Uff! Duża ulga.

Kolejny fenomen – to Jazz Festiwal, z kilkoma scenami, wspaniałymi muzykami i wszechwładniającym luzem słuchania najwspanialszym muzyków, zespołów, głosów. Wszystko to na świeżym powietrzu, gdzie bryza od jeziora przeplata się z frazą muzyczną. I pomimo tłumów z krzesełkami, kocykami jedzeniem- porządek i planowe działanie organizatorów. Ta wspaniała organizacja wielkich i małych imprez towarzyszy mi na każdym kroku. Zawsze można otrzymać pomoc, zawsze ktoś ma czas zająć się zagubionym, czy potrzebującym informacji uczestnikiem.

I jeszcze jedna uwaga na temat Jeziora. Dotyczy ona jego położenia. Należy pamiętać, że Jezioro leży na wschodzie od Chicago i nie należy go mylić z położeniem pocziwego Bałtyku względem Polski. W przeciwnym wypadku może być „ciekawie”, a mimowolne zwiedzanie okolic Chicago może okazać się udręką tak wielką, że i kompas nie pomoże.

W Ameryce spełniło się zupełnie niechcący i przez przypadek moje prześmiewcze marzenie o tramwajach w górach, które przewożyłyby, co bardziej leniwych turystów. Nachodziło mnie ono najczęściej w Tatrach , gdy już iść nie miałam siły, plecak ciążył, a do schroniska „daleko jeszcze?”. I co się okazało. Tu, w Ameryce nie tramwajem, ale własnym samochodem można przejechać Park Yosemite. Cztery tysiące stóp i więcej, i wyżej, i coraz szersze widoki, i coraz ciekawsze granity, i cudniej, i cudniej. Tak pięknie, że boli. Niech boli i niech trwa. Potem panika. Zaraz stracę z oczu wszystko piękno świata, które skryło się w tym właśnie parku. Jak je zabrać? Jak unieść i w czym? Zabrać wszystko, zachłannie, żeby starczyło do końca życia. Przecież piękno jest po to, żeby dawać siłę. Ameryka potrafi zauroczyć.

W Ameryce żyje się na co dzień łatwo. Jeszcze jeden przykład - „chodzenie” po górach. Bardzo dziwne uczucia towarzyszyły mi, gdy docierałam na dno kanionu przemieszczając się czymś co można nazwać windo – kolejką. Rewelacja. Szybko, miło i bezpiecznie, a widoki z dołu...mmm. Wiele by mnożyć jeszcze przykładów na to, że w Ameryce żyje się wygodnie, że jednak krąży po tym kraju myśl(może ostatnio mocno zaniżyła loty, ale jest nadal obecna), żeby nam, zwykłym ludziom nie utrudniać. Wiele spraw załatwić można za pośrednictwem poczty, telefonu, Internetu. Zmienia się cały świat, wiadomo, ma być nam wszystkim łatwiej. Pewnie mniej ciekawie i z zamieraniem życia socjalnego. Bo gdzie, jak nie w kolejkach kwitnie wymiana zdań? Są jeszcze czasem kolejki do okienka w banku, czy do oddania zakupionej ale niechcianej rzeczy. Jeszcze tam można sobie pogadać...

Idźmy dalej. Zakupy i czarny piątek .Podejrzewam, że może to być zjawisko niespotykane na szeroka skalę. Czarny piątek przeżyłam raz, kiedy to zwlokłam się, o zgrozo o piątej rano i udałam do najbliższego centrum handlowego. Trwoga i przerażenie. Nie ma gdzie parkować, trzeba się udać w tzw. pobliże. No dobra, już parking jest. Teraz wejść do sklepu i rozejrzeć się za przecenionym towarem. Niemożliwe zobaczenie czegokolwiek, dotknięcie czegokolwiek, dowiedzenie się o cenę. Tłumy. I tu pojawia się myślenie, które nazywam „myśleniem przez analogię”. Chodzi o skojarzenie, że już to gdzieś przeżyłam , ale w innych okolicznościach. Właściwie wszystko już przeżyłam, ale w innej, polskiej scenerii. Teraz zostaje porównywanie i zadawanie sobie pytanie, gdzie było „fajniej” ...czy w kolejce z kartkami w rękę po reglamentowane towary, czy w tłumie po dostęp do atrakcyjnych cenowo rzeczy. Stałam nieco na uboczu próbując zgadnąć, co mnie skłoniło do desperacji i udania się w tak niewiarygodnych godzinach do pocziwego mola. - Przecież nie muszę robić dzisiaj zakupów- olśniło mnie.- Jutro sklepy też są otwarte. A najlepiej będzie jak przyjdę za parę dni - odwróciłam na tzw. pięcie i natychmiast mi ulżyło. Czarny piątek nie okazał się w moim przypadku czarną rozpaczą, czyli rozpaczą za tym co mogłam kupić po tzw. okazyjnej cenie. Wiem, że „dobrze” kupić można na wyprzedażach różnych markowych sklepów i nie trzeba czekać z tym do końca listopada.

Tyle refleksji na temat mojego pobytu w Stanach. Mieszkam tu już pięć lat. Ciągłe się dziwię, ciągle coś mnie przeraża lub zachwyca. Nie mogę nadal uwolnić się od porównywania do tego, jak żyło mi się w Polsce, a jak jest tu. Taka już moja konstrukcja.

Wiadomo, Ameryka nie jest krajem idealnym, a nawet daleko mu do ideału wolności i równości, które zapisane są w konstytucji. Trudno określić teraz

pojęcie demokracji i wyraźnie wytyczyć jej granice. Trudno wyznaczyć, w jaki sposób mocarstwo ma wносить swój wkład w utrzymanie stabilizacji międzynarodowej, gdzie jest granica przyzwoitości polityków, tzn. do jakiego momentu mogą kłamać, czy być obłudni. Coraz większą bezsilność wobec chaosu świata czuje pojedynczy człowiek. Nie tylko mieszkający w Ameryce... Dla mnie Ameryka wiąże się z osobistym szczęściem. Powoli spełniam się też zawodowo. Jest raz łatwiej, raz ciężiej. Wiadomo – jak to w życiu. Ameryka nauczyła mnie szerszego spojrzenia na świat, przyjmowania do wiadomości tego, że ktoś jest inny, ma inną kulturę, religię i przekonania. Jest inny i może być tak samo ja jak człowiekiem, który dąży do szczęścia, stabilizacji - i robi to na swój sposób. Myślę, że to jest największy dar, jaki otrzymałam od Ameryki.